wolnelektury.pl

Eliza Orzeszkowa

Daj kwiatek

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

ELIZA ORZESZKOWA

Daj kwiatek

Na ulicach miasta Ongrodu ludno i gwarno. Jadą tam, idą, śpieszą, rozmawiają, śmieją się, hałasują na sposób różny. Środkiem ulic suną z łoskotem powozy; bokami, na chodnikach wązkich, tłumnie wymijają się piesi przechodnie, z których każdemu pilno do kogoś, kędyś, po coś...

Wśród tłumu tego, czy spostrzegacie państwo starą tę kobietę, powoli, z trudnością przesuwającą się najskrajniejszym brzegiem ulicy, u samych ścian wysokich kamienic, o które ociera się często łachmaniasta jéj odzież, do których téż przypiera ona niekiedy zgarbione swe plecy, — stając na krótkie wypoczynki z piersią dyszącą ciężko i z kroplami potu występującemi na zmarszczone czoło? Zmęczoną jest widocznie, ale nie dzisiejszą tylko wędrówką. Dnie, miesiące, lata, całe długie już życie przewędrowała w sposób podobny, sród tłumu, spychającego ją na miejsca ostatnie i najmniéj wygodne, pomiędzy najostrzejsze kamienie bruku, ku najchłodniejszym od mrozów, lub najgorętszym od skwarów, murom domowstw miejskich. To téż popatrzcie państwo, jak przygarbiła się, rzec można, w łęk zgięła dość wysoka jednak jéj postać, jak wychudłą i malutką stała się twarz jéj, okryta zgrubiałą i ciemną skórą, jak zżółkły i pomiędzy sterczące kości policzków głęboko wpadły jéj wargi, jak spłowiały oczy jéj, czarne snadź niegdyś, i jak nad spłowiałemi źrenicami temi drga i mruży się żółta, z rzęs obrana, malutka powieka. A na czole jéj nizkiém, ciemnem, ileż zmarszczek! Wygląda czoło to jak karta papieru, która długo tarzała się po miejscach wilgotnych i mrocznych, w kurzu i natłoczeniu, a ręka jakaś twarda, nieubłagana, zwolna lecz ciągle mięła ją i wygniatała w fałdy i zagięcia najrozmaitsze. Nad czołem tém włosów niewidać, bo głowa kobiety owinięta jest chustką, która, pomimo starości swéj, zachowała jeszcze barwę gorącéj żółtości. Ciemne centki rozsiane są po żółtém tle téj chustki, końce jéj, związane z tyłu głowy, opadają na plecy kobiety, okryte luźnym kaftanem z pstremi łatami, na rękawach, plecach i piersi. Stopy jéj, krocżące po ostrych kamieniach, obute są w płytkie skórzane obuwie i sine wełniane pończochy, ukazujące się niekiedy z pod spódnicy krótkiéj przybranéj u dołu w strzępy różnéj długości, we frendzlę niby, ciężką od gromadzącego się na niéj przez lata pyłu i błota ulic.

Nie znacie państwo kobiety téj? Ja znam ją z blizka. Imię jéj Chaita, zawód — łachmaniarka. Wielki Boże! czy przebaczycie mi państwo, że zaznajamiać was śmiem z osobą, zajmującą tak nizkie stanowisko społeczne? Czy nie powiécie mi, że jest to nieprzyzwoitém i całkiem niepotrzebném z méj strony? Bo naprawdę, cóż wspólnego być może pomiędzy wami a łachmaniarką? Ze wstrętem nawet i pewną urazą ku mnie wymawiacie wyraz ten...

Przebaczcie! Lubię starą Chaitę, a ilekroć patrzę na nią, zdaje mi się zawsze, iż pomiędzy nią a mną istnieje jedna wielka, ścisła, nierozerwalna wspólność. Ja i ona należymy zarówno do téj ogromnéj rodziny, która zwie się ludzkością! Krewna to więc moja i — raz jeszcze przepraszam państwo — ale i wasza także. Jest to prawda, przeciw któréj żaden wstręt, pełen wytworności uczuć, żadna wysoka ściana, pełen złoceń i ozdób, żaden giest białéj dłoni, pełnéj pierścieni i wzgardy — nic nie mogą. Co się zaś tycze nizkiego stanowiska, jeżeli-by wysokości stanowisk ludzkich mierzonemi bywały wedle przeniesionych cierpień i mozołów, upewniam państwo, że Chaita, łachmaniarka, stała-by na starość dni swoich bardzo, o, bardzo wysoko!...

Łachmaniarką zresztą nie była ona zawsze. Przeszłość jéj... Mam dziwny, dziwny popęd do dowiadywania się, do odgadywania przeszłości istot takich, z pomarszczonemi

czołami i drżącą, żółtą powieką, przysłaniającą źrenice krwawe od łez przelanych, spłowiałe od czasu, który przeglądał się w nich tak długo, aż wsiąknął w siebie barwę ich i blask. Raz, pamiętam, w zagranicznéj jakiéjś galeryi obrazów, zobaczyłam malowaną twarz taką. Długo, zaniedbując wiele pięknych pejzaży, i cudownych portretów dam w aksamitnych sukniach, stałam przed twarzą tą starą, zmiętą, spoglądałam w bladą jéj źrenicę, uśmiechałam się do biednych warg jéj, uwiędłych i wklęsłych, i zapytywałam ją w myśli méj: jaką byłaś za młodu? gdzie żyłaś? kogo kochałaś? jakie cierpienia, pociechy, zawody, prace, znaczyły długą drogę twoję, nim zawiodły cię na brzeg mogiły, w którą wnet położysz się, taka zmęczona?

Wierzajcie państwo, niczego w życiu nie pragnęłabym tak bardzo, jak znać historye, całe, od początku do końca, historye wszystkich nizkich, biednych, zmiętych w dłoni losu i czasu, przygarbionych i pomarszczonych, zmęczonych. Żądanie to zresztą niéma w sobie nic wspaniałomyślnego. Nie jest ono wcale bezinteresownem. Znajomość bowiem wielu, wielu historyi podobnych stanowi dla człowieka — bogactwo serca, dla pisarza — żywy zdrój mądrości. Śmiem nawet ubolewać mocno nad pisarzem każdym, który historyi takich nie ciekaw jest i nie świadom. Uboga w struny musi być lutnia jego i blade farby na jego palecie...

Chaita nie zawsze była łachmaniarką. Za młodu, czy uwierzycie państwo? — była ona smukłą, hożą dziewczyną, z rumieńcem na śniadéj twarzy, z kruczym warkoczem i czarném okiem, w którego płomienne głębokości patrząc, można było myśléć o blaskach, upałach i rozkoszach wschodniego nieba. Urodziła się we wsi — za pozwoleniem państwa — w karczmie. Była to malutka nawet karczemka, mroczna, ciasna, z pochyłemi ścianami i przegniłym dachem. Ale dokoła niéj słały się wspaniałe kobierce łąk przedziwnéj świeżości, szerokie niwy bielały w zimie puszystém posłaniem nieskazitelnie białego śniegu, a w lecie płynęły złotą falą dojrzałych kłosów; w pobliżu, śród niezabudek, wił się strumień, dzień i noc dzwoniący jak srebro, a daléj nieco dębowe gaje, kryły się wieczorami za woale białawych mgieł, rankami zaś wstawały różowe od świateł jutrzenki... Był tam jeszcze niedaleko, o kroków kilkaset od karczemki, ogród stary, rozległy, wspaniały odwiecznemi drzewami i barwisty mnóztwem kwiatów. Należał on do dworu, którego téż własnością była biedna mała karczemka, dzierżawiona od dziedzica wsi przez ojca Chaity. Biedną była karczemka, biednym dzierżawiący ją arendarz. Dzieci miał wiele, żenił téż synów i za mąż wydawał córki, jak mógł — nie zbyt świetnie zapewne. Chaitę, gdy dosięgła lat piętnastu, zaswatano do miasta Ongrodu; została żoną Lejby, człowieka dość ubogiego, bo za cały majątek posiadającego wóz i konia. Wozem i koniem woził on z młyna ciężkie wory ze zbożem i mąką. Z powodu téj ostatniéj, przez całe życie wyglądał, jak Albinos, z białą twarzą i odzieżą, z białemi włosami i brwiami. Gdy tylko poruszył się, mąka sypała się z niego, jak sypie się śnieg z człowieka, który długie godziny przepędził na śnieżnéj zamieci.

Chaita, wraz ze wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się na zawsze z idyllą dzieciństwa swego, z zieloną łąką, w któréj wysokich trawach sypiała niegdyś godzinami całemi, ogrzewana słońcem majowém, a ochładzana gałęźmi rozłożystego głogu, które, powiewając nad nią niby wachlarze, szeptały wciąż do jéj ucha niewyraźne jakieś, łagodne, marzące powieści; rozstała się ze strumieniem, w którego falach płaczące brzozy zatapiały zwisłe swe ramiona, a ona, zwiesiwszy się u jednego z ramion tych, zwolna wraz z niém kołysała się nad falami, które płynęły wciąż, płynęły, srebrnie dzwoniły i niby czarnemi gwiazdami migotały odbiciem oczu wpatrzonéj w nie dziewczyny; rozstała się z niwą, w któréj wysokich kłosach z głośnym śmiechem chowała się przed swawolnymi braćmi, i ze starym, dworskim ogrodem, do którego wolno jéj było wejść czasem, pod sklepieniem odwiecznych drzew jego poważnie pochodzić i na prześliczne kwiaty, rosnące w nim, z zachwytem popatrzéć. Rozstała się z biedną karczemką ojcowską, w któréj stajni beczało kóz kilka, serdecznych jéj przyjaciółek, w któréj ciasnych izdebkach krzątała się pracowita matka o zwiędłéj twarzy i cierpiącém, łagodném wejrzeniu, a przed któréj progiem zasiadał niekiedy wieczorami brat starszy, i wśród ciszy wieczornéj wydobywał ze skrzypiec nieuczone, niesforne, ale takie przeciągłe, smutne tony. Wtedy, przy młodym bracie, siedzącym na nizkiéj ławie, siadywała ona także i, na szyję zarzuciwszy mu ramię, słuchała gry jego, a wzrok topiła w białéj mgle, kłębiącéj się po łąkach, na kształt wód,

kołysanych wiatrem. Grając, brat miewał czasem łzy w oczach. Zapytywała, czego płacze? Nigdy jéj nie odpowiadał. Oboje nie wiedzieli na pewno, czego im smutno. Ciemni byli, niewiedzący. Mgła, tak gęsta, jak ta, która podnosiła się nad łąkami, tylko nie tak do rozwiania łatwa, stała pomiędzy oczyma ducha ich, a światem. Jednak tęsknili za czémś, czegoś pragnęli, czegoś im było żal i lęk... Żałowali tego może, czego nigdy posiadać nie mieli, przeczuwali może ciężką przyszłość... Gdy brat Chaity grał coraz przeciągléj, coraz smętniéj, drobne rodzeństwo zbierało się u kolan jego i podnosiło ku niemu zasłuchane twarze; w ciemnéj sionce matka wzdychała głośno, a ojciec, z długą, rudą brodą i okiem posępném nieco pod zbrużdżoném czołem, modlił się w izbie przed oknem, coraz głośniéj, coraz żarliwiéj, coraz jękliwszemi i śpieszniejszemi zawodzeniami...

Wraz z piérwszém wstąpieniem na bruk miejski, rozstała się z tém wszystkiém Chaita, a może i z czémś więcéj jeszcze... Może kiedyś, w upalny dzień letni, srebrne fale strumienia, nad któremi kołysała się, u gałęzi brzozy płaczącéj zwieszona, ukazały ognistym, szeroko śród marzenia rozwartym jéj oczom urodziwego młodzieńca jakiego, z miękką dłonią, namiętném okiem, a czołem jaśniejącém mądrością tych wielkich, starych mistrzów Izraela, o których słyszała, jak nieraz ojciec jéj opowiadał jéj braciom... Być może... wszak nie koniecznie trzeba być królewną, aby marzyć o szczęściu... Marzą o niém może i te bosonogie żydóweczki w podartéj odzieży, które widujecie czasem państwo w pobliżu brzydkich karczemek, gdy, siedząc na wilgotnych łąkach, zatapiają w głębie mętnych sadzawek spojrzenia leniwe sennych swych oczu...

Szczęście! *Quel animal est-ça?* — mogła-by dziś, gdyby umiała po francuzku, zapytać Chaita. Ale ona nie umié po francuzku, w rodzinnym więc tylko, bardzo brzydkim żargonie, codziennie z rana stając u okna mieszkania swego, zaczyna pacierz swój od wyrazów: „Panie świata! dziękuję Ci, żeś stworzył mię tak, jak była wola Twoja!"

Miasto porwało ją — jak atom drobny wpadła w aglomerat tysięcy innych atomów, i wraz z niemi pociągniętą została w wir nieustanny i nieubłagany, śród którego stopy stopom zazdroszczą każdéj piędzi zdobytego gruntu, piersi piersiom odkradać usiłują każdą odrobinę powietrza, usta ustom wydzierają każdą okruchę pożywienia, ramiona stykają się i popychają wzajem, czoła goreją od znoju, serca twardnieją, brudzą się i więdną od widoku twardych kamieni, brudnych murów, uwiędłych twarzy, nad któremi nie brzmią i nie przelatują żadne kojące i pocieszające, choćby nawet nierozumiane, głosy, widoki, pieszczoty, swobodnéj, świeżéj przyrody...

Co tu czynić, ażeby żyć; mężowi, którego obrazu nie ukazywały jéj wprawdzie srebrne fale strumienia, w ciężkiéj pracy dopomódz; dzieci, które otaczały ją coraz liczniejszém gronem, wyżywić, wychować? Czyniła mnóztwo rzeczy. Roznosiła po mieście drobne towary, w kilkunastu małych pudełkach zamknięte, któremi tak owieszała się cała, że miała zdala pozór kobiety, garbatéj z przodu i z tyłu; potém roznosiła znowu owoce w wielkich koszach, których ciężar czynił chód jéj kołyszącym się na obie strony, jak gdyby była srodze kulawą; potém jeszcze...

Lecz nie będę opowiadać dłużéj, czém była i co przez całe długie życie swe czyniła Chaita. Jednę tylko rzecz powiedzieć muszę. Bardzo często chodziła na cmentarz — na ów cmentarz izraelski, który tam, o wiorstę od miasta, na piasczystym gruncie, śród nizkiego, ceglanego ogrodzenia, sterczy lasem czerwonawych kamieni. Chaita chodziła często na piasczyste to wzgórze, a gdy szła, przed nią jechał i po nierównym bruku trząsł się i dygotał wóz z podłużną drewnianą skrzynią. Za wozem idąc, Chaita, zanosiła się zwykle od płaczu; a kiedy potém z przechadzki téj do domu wracała, piasczyste wzgórze sterczało jednym kamieniem więcéj. Na kamieniach tych wypisywały się następnie imiona różne: męża Chaity, brata jéj, który był dla niéj bardzo dobrym, matki, mieszkającéj przy niéj na starość, syna, który brylantem był w wypłakaném jéj oku, córki, która jak róża kwitła w cierniowym jéj wianku...

Jak się zdarza z wielu starymi ludźmi, Chaita, przez śmierć lub oddalenie potraciła wszystkich swoich... Jedni pomarli, drudzy odjechali daleko, inni zobojętnieli... wśród własnych trosk i licznych przywiązań, zapomnieli o niéj...

Jest ona samą na świecie. Skupuje starą odzież; niekiedy nawet, wyrzucone przez okna domowstw, stare łachmany ze śmietnisk podejmuje, nosi je na plecach w wielkim koszu z łozy uplecionym, osobliwy towar ten sprzedaje osobliwszym jeszcze od niego nabywcom i — żyje...

Wyobrażacie sobie państwo zapewne, iż żyje ona bez wszelkich już pociech i przyjemności, że nic na świecie całym niéma, coby zgasłe oko jéj rozpalić mogło iskrą błyszczącą, a na wargi uwiędłe wywołać uśmiech pieszczotliwy, niemal radośny? Mylicie się! Spójrzcie teraz na Chaitę, gdy zgięta pod ciężarem kosza swego, przesuwa się brzegiem ulicy, podartym kaftanem swym ściany domostw wyciera, a płytkie obuwie jéj co chwila o ostry kamień zaczepia się i z nóg jéj spada, tak, że zatrzymuje się i z gniewném mruczeniem coraz w nie na nowo stopę swą w sinéj pończosze wsuwać musi. Spójrzcie teraz na nią! Podniosła nieco głowę w żółtéj chustce, oko jéj strzeliło iskrą prawie gorącą — uśmiechnęła się i chrapliwym, dygocącym głosem zawołała:

— *Chaimkie!* nu! *Chaimkie!*

Mały, sześcioletni chłopak, przebiegający ulicą, usłyszał jéj wołanie, przypadł do niéj, zarzucił oba ramiona na schyloną jéj szyję, pocałował głośno zmarszczone jéj czoło i wnet, odwróciwszy się, ze śmiechem i krzykiem, pogonił za gromadą starszych i młodszych chłopców, pełnym galopem pędzących w stronę, kędy przed niewielu dniami wywieszono szyld ogromny, z wymalowanym na nim olbrzymem w różowych *inexprimablach* i zielonéj bluzie. Za wejście do przybytku, w którym ukazywano olbrzyma, płacić trzeba było; portretowi jego, wywieszonemu na ścianie domu, Chaimek i towarzysze jego przypatrywali się godzinami całemi bezpłatnie.

Chaita nie była samą na świecie. Chaimek był jéj wnukiem po najmłodszéj córce, po téj właśnie, która przez czas krótki kwitła, jak róża, w kolczatym wieńcu jéj życia. Śmierć zwiała z ziemi różę staréj łachmaniarki, ale ona upatrywała żywy jéj obraz w pozostawioném przez nią dziecięciu. Chaimek miał włosy matki, kasztanowate i wijące się w mnóztwo pierścieni, a oczy takie, jakie niegdyś miała babka jego, czarne, wielkie, szeroko rozwarte wśród ściągłéj, bladawéj twarzy. Chaimek był ładném dzieckiem. Czy uważaliście to państwo, że wszystkie, bez wyjątku prawie, dzieci izraelskiego plebsu, w piérwszych latach dzieciństwa bywają bardzo ładne? Potém stopniowo twarze ich chudną, źrenice gasną, usta pobladłe otwierają się z wyrazem gapiowatego osłupienia. Wyrostki i podlotki posiadają już najpowszechniéj pozory chorobliwości i leniwego znękania. Nie wiem, co właściwie obiera je tak szybko i nieubłaganie ze świeżości i wdzięków. Czy widzieliście państwo kiedy mieszkanie ich rodziców? Czy zbadaliście wraz z uczonym niemieckim, twórcą *traktatu o żywności,* wpływ, wywierany na organizmy ludzkie przez pewne gatunki i ilości pokarmów? Czy zajrzeliście kiedy do „chederów", w których dzieci te uczą się? Czy wiecie, czego, jak i kiedy uczą się one? Czy znacie mełamedów o silnéj pięści i niecierpliwém oku?...

Cokolwiekbądź, Chaimek jest jeszcze bardzo ładny. Ubranie jego znamionuje w sposób wyraźny profesyą babki i jedynéj opiekunki jego; od roku już bowiem przeszło nosi on w lecie i w zimie kamizelkę z białego perkalu w czarne centki, surducik z perkalu i czapkę z perkalu. Do czapeczki przyszytym jest daszek skórzany, bardzo zmięty, ale Chaimek rzadko nosi czapeczkę, bo najczęściéj zapomina jéj w domu, a na mieście ukazuje się w małéj, rudéj jarmułce, która przykrywa sam wierzch zaledwie spierścienionych jego włosów.

Chaita sama zawsze własnoręcznie szyje ubranie Chaimka. Prawda, że zdarza się to bardzo rzadko, zawsze jednak szczególnym jest widok staréj kobiety téj, gdy w wielkich okularach, których brzegi zachodzą do połowy prawie pomarszczonego jéj czoła, i w żółtéj swéj chustce, ściśle oblepiającéj jéj głowę, siedzi ona na nizkim stołku, przy świetle lampki z długim kominem, i drżącemi, ciemnemi rękoma przykrawuje, przymierza i zszywa spłowiałe łachmany. Czyniąc to z wielkiém zajęciem, z nadzwyczajném wytężeniem myśli i wzroku, od chwili do chwili pomrukuje półgłosem. Mówić do siebie jest jéj stałym zwyczajem. „Kto tam teraz mieszka" szepce czasem. Myśli wtedy o małéj, brudnéj karczemce, w któréj urodziła się i wyhodowała.

— Aj! aj! jakie one były piękne!...

Wspomnienie to o starych drzewach dworskiego ogrodu, pod których cieniem przechadzała się kiedyś, dzieckiem i dziewczęciem będąc.

Czasem uśmiecha się i głową wstrząsa z rodzajem żartobliwéj pogróżki. Przed wyrokiem jéj przepłynęły z srebrném dzwonieniem fale strumienia, i zamigotały czarnemi oczyma wpatrzonéj w nie dziewczyny.

Innym jednak razem wzdychała ciężko.

— Kiedy on umarł, — mówiła, — to on bielszy zrobił się, niż ta mąka, którą zawsze nosił na sobie! On młodo umarł, ale co to dziwnego? Wory ciężkie na wóz kładł przez całe życie... zmęczył się bardzo i... poszedł sobie...

Potém dodaje:

— Panie świata! połącz duszę jego z duszami Abrahama, Izaaka i Jakóba, i wszystkich miłych Tobie!

A czasem mówi:

— Człowiek podobny jest tchnieniu! dni jego znikają jak cień!

Wtedy myśli o młodéj, hożéj córce swojéj, matce Chaimka, o róży owéj, którą z ziemi zwiała śmierć...

Bywają jednak chwile, w których z ręki Chaity wypada gruba igła; ściska ona pięść z wielkim gniewem, oczy jéj z za wielkich okularów gniewnie pałają.

— Aj! aj! zła kobieta, złodziéjka! niegodziwa! jak ona mię obdarła! jak ona mię oszukała! Dwa złote za taki gałgan ode mnie wzięła! a kto mnie za to tyle da? ja nieszczęśliwa jestem! ona mnie zgubiła!

Namyśla się, potém uspokaja i dodaje:

— Nu! kto mnie za to tyle da? Dziewczyna ta od tych bogaczów! Ona na niczém nie zna się i ciągle tylko śmieje się i podskakuje. Ja jéj do tego kaftana te błyszczące guziki przyszyję, a pokazywać go jéj będę nie z téj strony, gdzie są dziury, ale z téj, gdzie będą błyszczące guziki. Może ona mnie i trzy złote da! Złoty zarobku! toby to szczęście było!...

Marząc o olbrzymim zarobku całéj złotówki, i uśmiechając się filuternie na myśl o błyszczących guzikach, któremi nazajutrz olśnić ma młodą pokojówkę, ciągle śmiejącą się i podskakującą, stara baba czuje, że drzémać zaczyna. Nogi okrutnie bolą ją od kamieni, po których cały dzień chodziła, rada-by się już położyć i rozciągnąć ociężałe swe członki na łóżku, opatrzoném, niestety, w jedną tylko, bardzo zeszczuplałą, bo wyprawną jeszcze, pierzynę. Wstaje tedy, ale uczuwa, że ciało jakieś leży pod jéj stopami. W drżącą rękę ujmuje lampkę i pochyla się ku ziemi. Chaimek to, który siedział zrazu u jéj kolan, gwarząc i przypatrując się sporządzanym dla niego szatom prawdziwéj świetności, leży teraz u nóg jéj, skurczony w swém bardzo już podartém odzieniu, głęboko uśpiony, i w silnie ściśniętéj ręce trzymający kawałek niedojedzonego obwarzanka.

Wązkie, wklęsłe wargi Chaity rozwierają się szerokim uśmiechem; stawia ona lampkę na stole, bierze wnuka w objęcia, i składając na rozrumienionéj snem twarzy jego głośne pocałunki, mówi:

— Śpiochu ty mały! ja przez ciebie tylko co nie upadła!

Przy ostatnich wyrazach tak już śmieje się, że aż chichoce prawie. Chaimek budzi się, otwiera senne powieki, i coprędzéj niesie do ust niedojedzony przedtém obwarzanek. Babka wsuwa go pod pierzynę.

— *Bobe*? — odzywa się dziecko.

— Nu? — pyta babka, zajęta zdejmowaniem swego kaftana.

— A gdzie ta dziesiątka, którą ja dziś od *puryca* dostałem?

Pytanie to sprawia na Chaicie przykre bardzo wrażenie.

— Gdzie ta dziesiątka! — woła — ja ją za okno wyrzuciłam. Ty ją wyżebrał! a czy ja tobie nie mówiłam, żebyś ty nie żebrał! Jak ty mnie jeszcze raz nie posłuchasz, to ja ciebie rózgą wybije!

Chaimek ani wyrzutów, ani pogróżek babki już nie słyszy. Śpi on już znowu z obwarzankiem przy ustach, i z ramieniem, ubraném w brudny, gruby, podarty rękaw, zarzuconém nad głową. Ciemne rzęsy rzucają mu na różowe policzki długie cienie, a drobne usta uśmiechają się sennie i łagodnie. Stara babka gniewa się jeszcze chwilę i sarka, lecz potém wydobywa z kieszeni wyżebraną przez wnuka dziesiątkę i ogląda ją na wszystkie strony, jakby sama przekonać się chciała, że nie uczyniła wielkiéj niedorzeczności wyrzucenia jéj za okno. Wzdycha przytém ciężko, głową smutnie wstrząsa, lecz nakoniec, wsuwając się pod pierzynę, wymawia:

— Nu! cóż robić! — i dodaje: — Biéda!

Niekiedy babka i wnuk bawią się we dwoje bardzo wesoło. Zdarza się to wtedy najczęściéj, kiedy Chaita dość późnym wieczorem wraca do mieszkania swego, niosąc na

plecach swych kosz, pełen kupionych i podjętych ze śmietnisk łachmanów. Mieszkanie Chaity znajduje się w najgłębszym środku labiryntu tego, który składają uliczki i domki żydowskiéj dzielnicy miasta Ongrodu. Składa się ono z izdebki tak nizkiéj, że zczerniałych belek jéj sufitu Chaita z łatwością ręką dosięgnąć może, a tak ciasnéj, że wielki gliniany, rozsypujący się, piec, większą połowę jéj zajmuje. Pod jedyném okienkiem izdebki téj, złożoném z malutkich szybek, oprawnych w spróchniałe ramki, niéma żadnéj wcale ulicy; domek bowiem stoi wśród wielkiego nagromadzenia podwórek. Jest ich tam dokoła takie mnóztwo, że nieobeznanemu z miejscowością trudno-by się wśród nich zoryentować. Rozdzielone malutkiemi domkami i płotami przegniłemi, dziurawemi, chyłącemi się ku ziemi, plączą się one ze sobą i najróżniejsze posiadają kształty: wąziuchne są a długie i kręte, niby kurytarze, to kwadratowe lub okrągłe, w czarne stajenki i składziki zaopatrzone, stosami śmiecia zjeżone, z kałużami, wiecznie stojącemi wśród ostrych kamieni tu i owdzie, i z nagromadzeniem starych desek jakichś, na których w dzień huśtają się gromady dzieci, a które nocami skrzypią i stukają pod powiewem wiatru.

Zdarza się czasem, że Chaimek uprzedza babkę i piérwszy z wycieczek swych po mieście wraca do izdebki. Roztropne to jest dziecko. Wśród mroku, panującego w izdebce, wynajduje zapałki, roznieca ogień w małéj lampce i stawia ją na okienka, aby przyświecała krokom babki, gdy przebywać ona będzie podwórko, mające kształt długiego, krętego kurytarza. Wszystko to czyni z powagą wielką, zwolna, ostrożnie; potém zaczyna odbywać po izdebce całéj geograficzne poszukiwania. Pogrąża się naprzód w mrokach zapiecka, i po szeleście, który tam czyni, poznać można, iż rozgrzebuje i przeciera starannie nagromadzone tam stare papiery, potém zagląda pod stół, pod pierzynę i poduszkę babki, i pod swoję własną, w kątku na ziemi, leżącą pierzynkę. Niekiedy poszukiwania te pozostają całkiem jałowemi; najczęściéj jednak, za piecem albo pod pierzyną, Chaimek znajduje zczerstwiałą bułkę, obwarzanek, albo kawałek chleba czy twardego séra. Wtedy ze zdobyczą swoją siada w kącie izdebki i, zajadając z apetytem wielkim znaleziony przysmak, przytém nucąc z cicha, albo głośno śmiejąc się z przychodzących mu na pamięć wypadków dnia minionego, oczekuje przybycia babki.

Wkrótce téż daje się słyszéć za okienkiem uderzanie o kamienie bruku przydeptanych trzewików Chaity; nizkie drzwiczki rozwierają się szeroko, i wsuwają się przez nie: najprzód gorąco żółta chustka, oblekająca głowę staréj kobiety, potém zgarbione jéj plecy, a potém wielki kosz, sterczący cały różnobarwnemi szmatami, które go przepełniają, i połyskujący tu i owdzie metalowym guzikiem jakimś, przystrajającym znoszoną odzież. Wtedy Chaimek zrywa się z ziemi, przyskakuje do babki, pomaga jéj zdjąć z pleców ciężar jéj, a następnie wyciąga ku niéj rączkę z niedojedzonym kawałkiem obwarzanka lub séra i woła: „Jedz, *Bobe!*" Chaita bierze czasem podawaną jéj żywność i je, najczęściéj jednak tak jest zmęczoną, że z głośném stęknięciem siada na ziemi obok kosza, i bezzwłocznie opuszcza ręce. Chaimek zdejmuje lampkę z okna, stawia ją téż na ziemi, a sam naprzeciw babki siada i obie ręce chciwie w koszu zatapia. Jakaż radość! ileż tam wtedy wykrzyków zachwytu! świetności za świetnościami występują długim szeregiem. Czasem np. ciekawe i niecierpliwe ręce Chaimka z trudem pewnym wyciągają z kosza babki wielką, długą, falbaniastą suknią z liliowego muślinu. Suknia ta pełna plam i dziur, ale Chaimek ich nie dostrzega, widzi tylko piękny kolor liliowy, i z otwartemi usty przygląda się gałązkom deseniu. Po sukni występuje z kosza kapelusz słomiany, zmięty bardzo, z dnem wydartém, ale ozdobiony wielką różą i opaską z różowéj wstążki. Chaimek na widok róży aż chwyta się za głowę obu rękoma, potém, dla lepszego zapewne przypatrzenia się prześlicznemu przedmiotowi, wkłada go na głowę babki. Chaita nie wzbrania mu czynić tego, owszem, oczy jéj błyszczą i uśmiechają się z pod róży, ocieniającéj żółte jéj czoło, gdy uszczęśliwiony Chaimek naprzeciw niéj staje, przypatrując się jéj, przechyla głowę na obie strony i woła: „*Szejne Bobe! a! szejne Bobe*!" Po kapeluszu następują buciki, drobne dziecinne obuwie, podarte, zbrudzone, ale z ponsowéj cieniutkiéj skórki. Chaita nie kupiła ich, lecz podjęła z ziemi na obszernym dziedzińcu jakimś, u okna pięknego jakiegoś domu. W mgnieniu oka ponsowe buciki znajdują się już na nogach Chaimka. Skacze on w nich po izdebce, a co chwila staje, i nizko schylając się, przypatruje się im z powagą i uwielbieniem nadzwyczajném. Chaita, patrząc na uszczęśliwione dziecko, odpoczywa.

— *Chaimkie*, czy ty dziś nic na mieście nie dostał? — Gdy wymawia słowa te, usta jéj drżą trochę i powieki okrywają całkiem niespokojnie migocące źrenice. Widocznie wstydzi się własnego pytania i dolega jéj ono mocno.

Kiedy Chaimek odpowiada, że nic nie dostał, Chaita nic mu na to nie mówi, tylko z cicha coś mruczy do siebie, głową trzęsie i wzdycha; lecz jeśli tylko sięgnie on do kieszonki i wydobędzie miedzianą lub drobną srebrną monetę, stara babka wyrywa mu pieniądz z ręki, ciska go o ziemię, i w gniew wielki wpada.

— Ty znów żebrał, — woła, zrywając się z ziemi i rozpostarte ramiona wyciągając groźnie ku dziecku, które cofa się ku swéj pierzynce. — A co ja tobie mówiła? czy ja tobie nie mówiła, że żebrać to wstyd i grzech; ja ciebie za to rózgą wybiję.

Gdy tak woła, wyraz oczu jéj tak jest rozsrożonym, głowa jéj i ręce tak trzęsą się, że chociaż sceny podobne powtarzają się bardzo często, Chaimek za każdym razem czuje się mocno strwożonym i, przypadłszy ku ziemi, chowa się pod pierzynkę swą caluteńki, z głową. Tylko malutkie nóżki jego w ponsowych bucikach wyglądają z pod pierzynki, a z innéj strony, przez małe uchylenie jéj, wygląda jeszcze czarne oko, na-pół trwożnie, na-pół filuternie na babkę spoglądające. Chaita staje nad parą ponsowych bucików, i miewa do nich długą jeszcze przemowę o wstydzie i grzechu żebraniny. Przy końcu woła gniewnie:

— Zdejm buciki! Co to? czy ja je dla ciebie tu przyniosłam?

— *Bobe*! — odzywa się z pod pierzynki przyciszony, jękliwy głosik.

— Zdejm zaraz buciki, nu!

— *Bobe*, pozwól mi w nich tę jedną noc przespać!

Głosik przybrał tym razem tak przejmująco błagalne tony, że Chaita czyni pobłażliwy gest ręką i odchodzi ku swemu łóżku. Ztamtąd odwraca się raz jeszcze, i spostrzegłszy głowę dziecka, która, zjeżona kasztanowatemi kędziorkami, wygląda już z pod pierzynki na-pół nieśmiało, na-pół swawolnie, uśmiecha się ku niéj i szepce:

— *Fiszele*! (rybko, dzieciątko).

Nazajutrz, gdy Chaimek otwiera ze snu oczy, za okienkiem, na długiém, wązkiém podwórku dnieje, błękitnawy brzask poranku napełnia izdebkę, a na mglistém tle tém wydatniéj odbija się przygarbio napostać Chaity, w szafirowy kaftan bez rękawów przyodzianéj, i z twarzą, zwróconą ku oknu, modlącą się żarliwie. Z szybkiemi, krótkiemi pokłonami, z rękoma, podnoszącemi się nieco w górę, pół-głosem wymawia ona:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który prostujesz zgiętych w łęk!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który dajesz siłę strudzonym!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, który sen z oczu, a drzemanie z powiek moich spędzasz!

Chaimek wydobywa się z pod pierzynki swéj i, w szaréj koszulince a ponsowych bucikach stanąwszy za babką, zaczyna kłaniać się, tak jak ona i mówić:

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś nie stworzył mię niewolnikiem ani bałwochwalcą!

— Błogosławionym bądź, Panie świata, za to, żeś stworzył mnie mężczyzną!

I daléj jeszcze długo odmawia poranny pacierz, którego, przez litość nad ubogiém, zaniedbaném dzieckiem, nauczył go uczony Szymszel, ojciec serdecznego przyjaciela jego, małego Mendele.

Stara babka niczego nauczyć go nie mogła, bo oprócz tego, że po całych dniach w domu nie bywała, wiedzy najmniejszéj nie posiadała sama. Bracia jéj uczyli się długo różnych mądrych rzeczy, ale ona nie umiała nawet czytać. Wiedziała jednak o tém dobrze, iż wnuk jéj powinien był umieć to, co umieli bracia, mąż i zięć jéj, a zmarły oddawna już ojciec Chaimka. Ubodzy to byli i ciężko pracujący ludzie, ale czytać po hebrajsku umieli i zakonu izraelskiego mnogie przepisy znali. Wiedzę tę posiadać musi każdy w Izraelu mężczyzna. Prawidło-to, nie posiadające wyjątków. Miałże-by tylko wnuk jéj stanowić w tym względzie haniebny i srodze boleśny dla niéj wyjątek? Chaita myślała o tém nieraz z trwogą i smutkiem wielkim, ale zaradzić trosce swéj nie mogła. Mełamedowie nie bywają na ogół ludźmi bezinteresownymi, a ona zarabiała na handlu swym jak raz tyle, aby módz wydać na utrzymanie swoje i wnuka rubli sr. 3 na miesiąc, czyli gr. 20 dziennie. Jeżeli miesiąc miał dni 31, Chaita z dniem tym naddatkowym bywała zwykle w srogim kłopocie.

Napatrzywszy się do syta wymalowanemu na szyldzie olbrzymowi, Chaimek zwrócił kroki swe w stronę placu miejskiego, który, otoczony nizkiém ogrodzeniem i osadzony mizernemi drzewami, nosi w Ongrodzie wspaniałą nazwę bulwaru. Inne dzieci podążyły w tym samym kierunku, ale ponieważ starszemi były, pobiegły prędzéj. Chaimek z serdecznym przyjacielem swym, młodszym od niego o rok, Mendelkiem, szli z wolna, trzymając się za ręce i rozmawiając o rękach olbrzyma, których wielkość napełniała ich podziwieniem; o prześlicznéj różowéj bluzie jego, i piękniejszych jeszcze od niéj trawiasto-zielonych *inexprymablach*. Po drodze zatrzymywali się przed niektóremi z wystaw sklepowych, tu, z owartemi szeroko ustami, przypatrując się złotym i połyskującym wyrobom jubilera, gdzieindziéj uśmiechając się z rozkoszą na widok spiętrzonych wysoko bułek i rogali, zdobiących okna piekarni. Do tych ostatnich malutki Mendele, w różowym spencerku i niezmiennie z pod spencerka zwisających białych tasiemkach, wyciągał nawet obie ręce. Ale Chaimek, o rok starszy, perswadował mu, że bułek i rogali tych brać nie można, a gdyby nawet i dostały się one w ich ręce, na nic-by się im nie przydały, ponieważ są *trefnemi*. Mendele nie miał jeszcze zupełnie jasnego pojęcia o znaczeniu *trefu*. Chaimek znał fakt, ale wytłómaczyć go przyjacielowi nie umiał; powiedział więc, że gdy tylko zobaczą Enocha, dziewięcioletniego brata Mendelka, który od pięciu już lat uczy się, i bardzo już jest uczonym i nabożnym, zapytają go o to.

Jakoż, gdy, rozmawiając w ten sposób, weszli na bulwar, ujrzeli siedzącego na ławce wyrostka, w długiéj, szaréj surducinie i czapce, nizko na czoło nasuniętéj. Był to Enoch, syn uczonego Szymszela, a brat Mendelka. Dokoła niego zgromadziło się kilku chłopców równego z nim wieku, lub młodszych nieco, którzy wszyscy, gwarząc, opowiadając sobie o czemś, sprzeczając się nawet, zwracali się wciąż ku niemu, niby ku sędziemu, albo mistrzowi jakiemu. Widocznie mały Enoch, słynący z tak wczesnéj uczoności i nabożności swéj, zajmował wśród rówieśników swych stanowisko takie, jakie ojciec jego, uczony Szymszel, posiadał wśród mężów dorosłych, którzy szanowali i podziwiali go nawet wielce. Względnie do młodocianego wieku Enocha, stanowisko to było w rzeczy saméj świetném i zdawało się przyrzekać mu przyszłość najpiękniejszą. Tylko, że ściągła, prześlicznie zarysowana twarz małego mędrca, była tak bladą i chudą, a oczy jego czarne, ogromne, tak głęboko zapadły i na świat patrzały z wyrazem tak dziwnie jakoś cierpiącym i dziwniéj jeszcze poważnym!.. Wyglądał tak, jak gdyby wielka owa ilość wiedzy, z któréj słynął, gromadząc mu się w głowie, wsiąknęła w siebie wszystką krew jego, i jak gdyby owa wielka nabożność, którą tak wcześnie się odznaczał, zjęła mu małą, szczupłą postać nieruchomą sztywnością i owiała ją nieokreślonym smutkiem.

Chaimek stanął naprzeciw Enocha, obu łokciami wsparł się o jego kolana i, podnosząc ku poważnéj twarzy starszego towarzysza twarzyczkę swą okrągłą, ruchliwą, figlarnie orzuconą zwojami kasztanowatych kędziorów, zapytał:

— Enoch! powiedz ty nam, mnie i Mendelkowi, co to jest *tref* i *koszer*? dlaczego nie wolno-by nam jeść bułek tych, których tam, za oknem piekarni, tak wiele?

Usłyszawszy pytanie to, Enoch, rozjaśnił nieco twarz i już — już odpowiadać zaczynał dwom, stojącym przed nim, malcom na ich pytanie, gdy inni chłopcy, siedzący na ławce i za nią stojący, jednogłośnie zawołali, że oni o tém już dawno wiedzą, zatém i słuchać więcéj nie chcą, a proszą i żądają, aby Enoch opowiadał im lepiéj piękną jaką historyą. Enoch mnóztwo pięknych historyi umié. Nauczył się ich w hederze, (przeszedł już bowiem cały pięcioksiąg, i znajduje się obecnie w studyum elementarnéj nauki Talmudu, z komentarzem *Rasze*, i słyszał nieraz, jak opowiada je ojciec jego, uczony Szymszel, gościom swym, żonie swéj, a nawet niekiedy, w braku słuchaczy, i samemu sobie. Enoch tedy, mnóztwo historyi pięknych na pamięć umiejąc, chętnie, choć ze zwiększoną jeszcze powagą, opowiada je towarzyszom. I teraz także, w krótkich słowach wyjaśniwszy Chaimkowi znaczenie *trefu* i *koszeru*, w sztywnéj postawie i z poważnemi giestami rozpowiadać zaczął o poprzedzających wyjście Izraela z domu niewoli plagach egipskich. Była to jedna z najstraszniejszych historyi Enocha. Plagi po plagach następują tam długim szeregiem, a jedna od drugiéj jest straszniejszą. O grubych ciemnościach, które zaległy były Egipt, dzieci słuchają w niemém osłupieniu, i wszystkie jednocześnie podnoszą twarze i oczy w górę, chcąc przekonać się, że nad niemi świeci jeszcze jasne i ciepłe słońce letnie. Mniejsze już wrażenie wywierają na nie spadające na Egipt chmury szarańczy, nie mają one bowiem dokładnego pojęcia, jak stworzenia te wyglądać mogą, a wyobraża-

jąc sobie, że są czémś nakształt owadów tych, które przepełniają izdebki ich rodziców, nie czują ku nim wielkiego wstrętu. Różdżka Mojżesza za to, przemieniająca się w węża, zajmuje niezmiernie ich wyobraźnią. Co-by to było, gdyby każdy z nich przemieniać mógł w ten sposób przedmioty różne we wszystko, czego żąda! Mały Mendele naprzykład przemienił-by natychmiast kamyczek, leżący u stóp jego, w piękną, żółtą, pulchną *chałę*, a Chaimek rozkazał-by uschłéj gałązce, którą trzyma w ręce, ażeby stała się taką piękną różą, jak była owa róża, zdobiąca stary kapelusz, znaleziony kiedyś przez niego w koszu babki.

Jakkolwiek przecież gromadkę małych słuchaczy zajmuje żywe opowiadanie Enocha, przerywają je od czasu do czasu różne drobne epizody, związku z nią niemające. Tak np. gburowaty i gapiowaty Mordko, syn krawca Gerszuna, chcąc znaleźć się bliżéj opowiadającego, popchnął Mendelka tak silnie, że zachwiał się on, na tasiemki swe nastąpił, upadł i głośno zapłakał. Chaimka oburzyła krzywda, wyrządzona przyjacielowi. Z zaiskrzoném okiem, ściśniętą pięścią uderzył on parę razy w plecy Mordka, poczém nachylił się, podniósł Mendelka, pocałował go w czoło zwalane piaskiem, pogładził policzek jego zalany łzami, i mocno go potém objąwszy ramieniem, do siebie przytulił. Mendelek przestał płakać, ale w gronie całém powstał, wypadkiem tym wywołany, ruch i gwar pewien, na który przecież Enoch w najmniejszéj mierze nie zważał i bez względu na to, że przez pół go tylko słuchano, opowiadał daléj i ożywiał się nawet coraz więcéj.

Wytrwałość ta przyniosła, jak zwykle, skutki pomyślne, bo gdy opowiadanie dosięgło kulminacyjnego punktu swego, więc jednoczesnego wymierania wszystkich pierworodnych egipskich dzieci, uwaga słuchaczy na nowo i w zupełności ku opowiadającemu wróciła. Jednoczesna śmierć pierworodnych wzbudziła przerażenie ogólne. Słuchano o niéj z pootwieranemi szeroko ustami, z wyrazem trwogi i głębokiego żalu w oczach. Widocznie dzieci te nie czyniły jeszcze różnicy pomiędzy narodowościami, świat ten zamieszkującemi, i nie wiedziały o tém, że jedna z narodowości tych nienawidzieć może drugiéj i cieszyć się z jéj nieszczęść. Mądrość ich nie dosięgła jeszcze stopnia tego, na którym znajduje się wiedza o nienawiści i zemście. Żałowały téż pierworodnych egipskich tak zupełnie, jak gdyby były one izraelskiemi. Ale Enoch zbliżał się już do wspomnionego wyżéj stopnia mądrości, i nad pierworodnemi egipskiemi litości najlżejszéj nie uczuwał.

Z błyszczącém okiem i szerokiemi giestami opowiadać właśnie zaczynał o płaczach i lamentach, które po owém fatalném wydarzeniu rozlegały się w Egipcie, gdy nagle...

— Patrz! patrz! — zawołali wszyscy słuchacze i wszyscy w kierunku jednym powyciągali wskazujące palce, a Chaimek aż zadrżał cały z radości.

Na bulwar weszła kobieta, w białéj, powłóczystéj, lekkiéj jak obłok, sukni, z ciemnemi splotami jedwabistych włosów nad czołem i z ogromną wiązką prześlicznych kwiatów w ręce, obciągniętéj lśniącą rękawiczką. Była to wysoka, piękna i strojna pani; po obu stronach jéj szli téż wysocy, piękni i strojni panowie.

Enoch sam jeden już siedział na ławce, ale najlżejszéj nie zwracając uwagi na to, iż odbiegali go słuchacze jego, prawił z coraz większym zapałem historyą swą, i dwóm drzewkom, melancholijnie powiewającym nad ławką mizernemi gałązkami, opowiadał o przejściu Mojżesza i Izraelitów przez morze Czerwone. Przechodząca przez bulwar piękna pani i cudowne kwiaty, które niosła ona w swéj dłoni, nie zdołały obudzić w nim zajęcia, od dawna już bowiem próżności i blaski światowe nęcić go przestały, a umysł jego utonął całkiem w poważnych studyach nad przedmiotami wiary i wiedzy.

Lecz nic dorównać nie zdoła pośpiechowi, z jakim bardziéj lekkomyślni i światowi towarzysze Enocha gonili za zjawiskiem, zachwyt ich budzącém. Gromadą całą biegli oni za panią w białéj sukni, chmura kurzawy wzbijała się z pod stóp ich, a krzyki ich napełniały powietrze wrzawą ogłuszającą. Chaimek szczególniéj nie mógł oderwać oczu od ogromnego i prześlicznego bukietu. Dotąd, widywał on tylko kwiaty, malowane na starych sukniach, wtłoczonych w kosz staréj Chaity, albo te, które, z nikłą barwą i zmiętém, martwém obliczem przyozdabiały dziurawe, na śmietnikach podejmowane przez nią, kapelusze. Nigdy jeszcze w życiu swém nie widział on kwiatów żywych, wonnych, świetnych gorącemi barwami, operlonych jeszcze srebrnemi kroplami. Teraz zobaczył je i aż zadrżał cały od zachwycenia niewymownego. W zapale swym zapomniał on nawet o małym Mendelku, który, nie mogąc dorównać biegowi towarzyszy, usiadł na środku bulwarowéj ścieżki i, rzewnie płacząc, wrzeszczał przeraźliwie. Inni chłopcy, mniéj śmie-

li, albo może mniéj namiętnie rzucający się ku rzeczom pięknym, biegli za panią w bieli w pewném oddaleniu, palcami tylko ukazując ją i jéj bukiet. Ale Chaimek zabiegał jéj wciąż drogę i, wyciągając obie ręce ku jéj kwiatom, roziskrzone, błagalne oczy podnosił. Zjęty nieśmiałością usuwał się potém, aby wnet znowu, z tym samym giestem i wejrzeniem, zabiedz jéj drogę. Ona nie zważała przez chwilę, ani na dziecko, ani na ruchy jego na-pół nieśmiałe, na-pół gwałtowne, gdy nagle Chaimek pochwycił suknię jéj i z lekka ją ku sobie pociągnął. Stanęła wtedy i ze zdziwieniem z razu, potém z uśmiechem na dziecko spójrzała. Źrenice jéj szafirowe, łagodne, ze srebrzystym połyskiem, spotkały się z nieśmiałemi a roziskrzonemi, jak czarne brylanty, oczyma dziecka. Okrągłą twarzyczkę jego oblewały ogniste rumieńce, drobne usta roztwierały się zachwyconym uśmiechem. Schylona nad nim, zapytała:

— Czego chcesz, mały?

Chaimek nieśmiałym, powolnym ruchem, dotknął końcem palca jéj kwiatów. Zaśmiała się srebrzyście i miękko zarazem, dłoń jéj spoczęła już teraz na gęstych jego kędziorach.

— Poproś ładnie — rzekła — a może dam ci kwatek z mego bukietu?

Chaimek stał przed nią nieruchomy i patrzał jéj w oczy zalęknioném trochę i zdziwioném spójrzeniém, zarazem wargi jego drgać zaczynały, jak gdyby wnet miał się rozpłakać. Nie dziw. Języka, którym przemawiała do niego, nie rozumiał, piérwszy raz bodaj dźwięki jego słyszał. Z twarzy jéj i z głosu, z ruchu jéj dłoni, która z miękką pieszczotą przesuwała się po włosach jego, domyślił się, że piękna pani była dla niego łaskawą, ale czego-by chciała od niego, o co go pytała — nie wiedział. Odgadła to właścicielka bukietu.

— On mnie nie rozumié! — zawołała, i w mgnieniu oka biała jéj twarz powlokła się cieniem smutku. Potém łagodnie i żartobliwie trochę rzekła:

— Powiedz mały: daj kwiatek!

Chaimek domyślił się tym razem, że kobieta uczy go wymawiania nieznanych jakichś wyrazów. Pojętność i uwaga odbiły się w oczach jego, które rozwarły się szerzéj.

— „Daj kwiatek" — uśmiechając się wciąż, mówiła kobieta.

Chaimek wyjąkał i wybełkotał z razu coś niezrozumiałego, lecz po chwili z wybuchem radości i po dziecinnemu przeinaczając trudny dla niego wyraz, zawołał wyraźnie i głośno:

— Daj kwiatek!

Wtedy kobieta w białéj sukni wesoło i razem głęboko jakoś popatrzyła mu w oczy, potém odłączyła od bukietu swego sporą część kwiatów i podała je dziecku.

— Śliczne dziecię! — prostując się, rzekła do towarzyszy swych i chciała odejść, a Chaimek zawiesił się u jéj ręki, którą okrywał namiętnemi pocałunkami.

W minutę potém biegł już ulicą, wiodącą ku żydowskiéj dzielnicy. Trzymał kwiaty swe w wysoko podniesionych ręku, biegł bardzo szybko, ani słyszał wołań goniących go towarzyszy, a od tych, którzy go doganiali, bronił się rękoma i nogami. W ten sposób przebiegł kilka wązkich zaułków, kilkanaście różnokształtnych dziedzińczyków i wpadł do mieszkania babki.

W chwili téj właśnie słońce zachodziło. Ukośny promień jego padał na drobne szybki i spróchniałe ramy okienka. O! błogosławioném bądź słońce, które ozłacasz niekiedy czarne ściany takich nizkich ciemnych izdebek, szkarłatnemi smugami opasujesz takie niezgrabne, gliniane, rozsypujące się piece, i ciepły pocałunek składasz na czole zmarszczoném i zżółkłém takiéj przygarbionéj, zmęczonéj, staréj, łachmaniarki!

W różowym płomieniu zachodzącego słońca, z kwiatami w wysoko podniesionéj ręce, stanął zdyszany Chaimek przed babką swą, która, na stołku siedząc, drżącemi rękoma przebierała podarte łachmany. Śnieżne lilie, stulistne róże, błękitne jak niebo niezapominajki i wysokie trawy ze srebrnemi brzegami rozbłysły w słońcu, niby spadły z nieba odłam tęczy; woń ich świeża, silna, upajająca, napełniła izdebkę całą od czarnego sufitu do glinianéj, poszczerbionéj, śmieciem okrytéj podłogi. Chaita klasnęła w ręce, oczy i usta szeroko ze zdziwienia otwierając.

— *Chaimkie!* — zawołała — aj! aj *Chaimkie* — a zkąd ty wziął te piękności? gdzie ty znalazł takie brylanty? Daj ty mi ich tu, ja im przypatrzę się! Aj! jak one pachną!

Uczucie niewymownéj błogości rozlewało się na twarzy Chaity, gdy, wziąwszy piękne kwiaty z rąk wnuka, przyglądała się im z daleka i z blizka, przymrużała oczy, nos swój,

uzbrojony w wielkie okulary, kryła całkiem prawie w kielichu białéj lilii, a szerokie trawy o srebrnych brzegach gładziła dłonią, jakby to były dzieci ukochane, a wciąż wołała:

— Aj! aj! jakie to gładkie! a jak to pachnie! a jak to błyszczy!...

I trudno-by rozpoznać, które z dwojga istot tych, dziecię czy babka, cieszyło się namiętniéj temi arcydziełami natury, co zajaśniały nagle w ciemném i duszném ich miejskiém więzieniu tym błyskiem zbytku, który przerznął i rozświecił przed nimi — mrok nędzy. Cieszyli się oboje naiwnie, głośno, ale uciecha dziecka dłuższą była. Chaita po kwadransie poczęła głową trząść smutnie jakoś, westchnęła nawet.

— Kiedy ja byłam młoda — szepnęła — ja takie same piękne kwiaty widywałam w dworskim ogrodzie. Potém już ja żadnych kwiatów nie widziałam nigdy...

Chaimek siedział w kątku na swojéj pierzynce i, opowiadał babce o pięknéj pani i o sposobie, w jaki kwiaty od niéj otrzymał, całował od chwili do chwili róże i lilie. Lecz babka po wielkiéj radości posmutniała na cały wieczór i, cerując przy ostatniém świetle dnia stary spencer jakiś, wciąż mruczała do siebie coś o rodzinnéj karczmie, o dworskim ogrodzie, o gałęziach brzóz, kołyszących się nad wodą, o późniejszém życiu swojém, biedach jego, troskach, bólach...

Wśród nocy budziła się ciągle, stękała, wzdychała, a nie śpiąc, usłyszała, jak w ciemnościach, zalegających kąt izby, głosik dziecinny, czysty jak srebro, uśmiechniony, z dźwiękiem prośby wymówił przez sen: „Daj kwiatek!"

Chaimkowi śniła się kobieta w białéj sukni i z szafirowém, srebrzyście połyskującém okiem; śniły się mu téż kwiaty, i nie dziw, bo oddychał wciąż, owiany był cały ich mocną wonią. Nocy téj, niby drugi Heliogabal, spał on na kwiatach. W obawie, aby mu gdzie nie zginęły, włożył je sobie pod poduszkę, pod małą, biedną poduszeczkę, powleczoną siném, szorstkiém płócienkiem.

Bolesne obudzenie! Nazajutrz Chaita, odmawiając, jak zwykle, o wschodzie dnia poranne swe modlitwy, usłyszała za sobą głośne spazmatyczne niemal szlochania. Odwróciła się, i oto jaki obraz przedstawił się jéj oczom.

Na wiązce słomy, przykrytéj na-pół cienką pierzynką, siedział Chaimek z włosami wśród snu rozczochranemi i zjeżonemi, a kolana jego, przykryte szarą koszuliną, i drobne nagie stopy osypane były trupami kwiatów. Otworzywszy oczy ze snu, sięgnął on wnet pod poduszkę i wydobył skarby swe, lecz w jakimże stanie! Atłasowe liście białych lilii zżółkłe były i porozdzierane, róże, na-pół ogołocone ze swych koron, sterczały uwiędłemi łodygami, szerokie zielone trawy zmieniły się do niepoznania... Nie były to już kwiaty, lecz słabe, o nich zaledwie wspomnienia. Chaimek z obwisłemi rękoma patrzał na nie i płakał, szlochając głośno, pełną piersią. Daremnie pocieszała go babka pieszczotliwemi wyrazy, to znowu łajała, grożąc, że go rózgą wybije... Chaimek, nie słyszał nic i nie widział! Łzy duże, rzęsiste, strumieniem nieprzerwanym lały się z oczu jego, i spadając na uwiędłe kwiecie, skrapiały je obfitą niby rosą. Jedna tam była tylko gałąź niezapominajek, która zachowała jeszcze trochę świeżości i barwy. Błękitne te gwiazdki ze złotemi oczyma zdawały się łagodnie i smutnie patrzéć na zapłakanego chłopczynę. Gdyby posiadały dar mowy, lub gdyby Chaimek znał imię ich, powiedziały-by mu one z pewnością: „Pamiętaj!"

Nie wiem jednak, czy nauki, udzielane mu przez Rebe Nochima, nie wygonią z pamięci Chaimka łagodnego upomnienia kwiatów z blękitném spojrzeniem; bowiem od dwóch miesięcy ma szczęście być wychowańcem i uczniem Rebe Nochima...

Był raz wieczór jesienny i smutny. Za okienkiem izdebki Chaity, po długiém, wązkiém, podwórku, z żałośném gwizdaniem przelatywały wichry, a gdy umilkły na chwilę, słychać było szmer deszczu, spadającego na kamienie bruku. Chaita leżała na łóżku swém, stękała i wzdychała. Wązki promień lampki migotał po twarzy śpiącego obok niéj Chaimka, a ona w twarz tę wlepiła nieruchome oczy i, według zwyczaju swego, półgłosem do siebie mówiła:

— Oj! biedne, nieszczęśliwe ty moje dziecię, co z tobą stanie się, kiedy dusza moja rozwód weźmie z mojém ciałem! Co z tobą będzie, kiedy Przedwieczny zawoła duszę moję, aby szła ztąd i połączyła się w światłości jego z duszami matki mojéj i ojca mego, męża mego Lejby i brata mego Abrahama, dwóch synów moich i kochanéj córki mojéj Małki? A co ja Małce mojéj powiem, kiedy ona mię na tamtym świecie zapyta się: Matulu, co ty zrobiłaś z małym synkiem moim, Chaimkiem? czy ty zostawiłaś tam przy nim kogo, kto chleb w usta jego, a rozum w jego głowę wkładać będzie? Jak ona mię tak zapyta się,

ja z wielkiego wstydu oczu na nią, na moję kochaną Małkę, podnieść nie będę mogła, i tylko cała łzami zaleję się, bo miłego synka jéj, Chaimka, ja samego jednego na tym świecie zostawię... On tak mały i żadnéj rady sobie dać jeszcze nie może... U niego ręce takie małe, że on sobie niemi nic nie zapracuje, a głowa taka głupia, że będzie go do złych rzeczy, do wielkich nieszczęść prowadzić! Oj! biedna, nieszczęśliwa głowa moja!...

Tak rozmyślała i wyrzekała Chaita. Wieczoru tego myślała o śmierci, bo na świecie smutno było i ciemno, wichry żałośnie bardzo jęczały, a ją bolały wszystkie kości i bolała głowa, żółtą chustką owiązana, i koło serca tak się jéj jakoś robiło słabo i boleśnie, iż myślała, że z każdém odetchnieniem cząstka duszy jéj ulatuje z jéj ciała. Przytém, srogich od dni kilku doświadczyła zgryzot. Czy to, że sił niedostawało jéj do gorliwych zachodów, czy że rywalka jéj, Jenta, jako młodsza nieco i zdrowsza, w targu i na śmietniskach wszystkich ją wyprzedzała, od tygodnia może nie zarobiła nic prawie. Już nawet parę razy otwarcie powiedziała Chaimkowi: Nu, wyproś dziś tam u *puryców* kilka groszy. — Nie srożyła się i nie łajała go, a zwykłą w podobnych wypadkach pogróżkę; „ja ciebie za to rózgą wybiję", wymówiła tak cicho, że Chaimek wcale jéj nie dosłyszał.

Wieczór był już późny i dawno pora było rozebrać się i wsunąć pod pierzynę; ale stara babka nie uczyniła jeszcze tego, leżała w ubraniu i długo, długo mruczała półgłosem, oczu nie spuszczając z twarzy śpiącego wnuka. Potém podniosła się z ciężkością, narzuciła na głowę i plecy wielką dziurawą chustkę i, nie zważając ani na ciemność nocną, ani na deszcz i wicher, wyszła z izdebki. Zgarbiona, z ręką wyciągniętą na przód, wśród fal deszczowych, które uderzały jéj prosto w twarz i przenikały dziurawą jéj odzież, przebywała kręte dziedzińczyki i wązkie uliczki. Stopy jéj osuwały się co chwila z ostrych kamieni, albo zapadały w głębokie kałuże, szła bardzo powoli. Doszła nakoniec do celu swéj wędrówki, i wsunąwszy się w ciemną sionkę nizkiego domowstwa, zastukała do drzwi, które znalazła omackiem.

— Kto tam? — zapytał z wewnątrz głos męzki.

Chaita z cicha wymówiła imię swe.

— Wejdź!

Izba, do któréj Chaita weszła, dość obszerną była, ale ubogą. W głębi jéj, na prostym stołku, przed stołem, na którym leżała wielka, rozwarta księga, siedział człowiek, w długiém do ziemi, wyszarzaném ubraniu, z obliczem ciemném i całkowicie prawie obrosłém gęstemi, ciemnemi włosy. Człowiek ten wczytywał się w księgę z wielkiém snadź wytężeniem władz duchowych, bo, gdy podniósł wzrok na wchodzącą kobietę, źrenice jego omglone były, jak bywa u tych, którzy z trudnością oderwać się mogą od przedmiotu swych myśli. Nie rozgniewał się jednak, że mu przeszkodzono w zajęciu, i łagodnym głosem zapytał:

— Czego przychodzicie do mnie o tak późnéj porze? czy stało się u was jakie nieszczęście?

— Odkąd opuściłam dom moich rodziców, nieszczęście stało się towarzyszem wszystkich dni moich — odszepnęła kobieta.

— Taką widać jest wola Przedwiecznego, wyrzekać na nią wzbrania nam zakon nasz — surowiéj nieco odparł mężczyzna i zapytał: — Czego chcecie ode mnie?

Chaita pochyliła się i pochwyciwszy ciemną, suchą jego rękę, do ust swoich ją przyłożyła.

— *Rebe!* — rzekła — ja przyszłam prosić cię za wnuka mego, za małe niewinne dziecko, które może bardzo nieszczęśliwém stać się, jeżeli ty nie ulitujesz się nad niém!

Tu rozpowiadać zaczęła o troskach i niepokojach, któremi zapełniał ją przyszły los dziecka.

— *Rebe* — mówiła u końca mowy swéj — ja przed tobą serce moje otworzę. Wielki ja grzech popełniłam, sama dziecko to żebractwa uczyłam... *Rebe!* niech twoje oko z gniewem i pogardą na mnie nie patrzy... mnie ciężko żyć... Ale ja o dziecko to w wielkim strachu jestem. Ono nauczyło się żebrać, a nauka to zła jest... ona prowadzić może do tego, że on będzie kraść! Aj! aj! *Rebe!* ja tego nie chcę! ja tego bardzo boję się!

I zaczęła w istocie trząść się na całém ciele, jak gdyby miała febrę.

— *Rebe!* ja grzech nie jeden mam na sumieniu mojém! Zdarzało się, że łachman nędzny ja za dobry sprzedałam, a kupując rzecz jaką dobrą, zapłaciłam za nią, jak za nędzny łachman. Zdarzało się, że ja oczom ludzkim pokazywałam towar mój z téj strony,

z któréj on cały i piękny był, a tę stronę, która była dziurawą i brzydką, chowałam, jak mogłam! Zdarzało się, że ja dla Jenty, téj, co także łachmanami handluje, wielką zazdrość i nienawiść w sercu swojém miałam, kłóciłam się i biłam z nią o lichy zarobek! Widzisz ty, *Rebe*, że ja przed tobą całe serce moje otwieram, ale ty nie patrz na mnie za to, co ja zrobiłam, z gniewem i pogardą, bo... bo mnie tak ciężko żyć!... Ale ty, *Rebe*, pomyśl sobie, że ja nie chcę, żeby Chaimek mój musiał tak grzeszyć, jak ja grzeszyłam! ja tego bardzo boję się! Ulituj ty się nad małém, niewinném dzieckiem! Ono takie piękne, i takie rozumne, i takie jeszcze małe! Weź ty, *Rebe*, wnuka mego pod opiekę swoję, jak tyle już dzieci biednych nieraz brałeś! Zrób ty tak, żeby on mógł uczyć się i rozum do swojéj głowy brać, i żeby, jak dusza moja rozwiedzie się z ciałem, ustom jego kawałka chleba nie zbrakło! Ty dobry jesteś, *Rebe*, nad biednymi ludźmi litujesz się zawsze! Miłosierdzie twoje, tak jak wielka mądrość twoja, na cały świat słynie! Niechże i ja znajdę łaskę w oczach twoich i litość w twém sercu!

Drżącéj mowy staréj kobiety *Rebe* słuchał w milczeniu, z uwagą. Myślał potém chwilę, aż rzekł:

— Bądź ty spokojną! ja prośbę twoję spełnię i wnukiem twoim zaopiekuję się! Ja go do domu mego wezmę, składkę na niego zbiorę, do *Talmud Tory* posyłać i sam go uczyć będę!

Twarz Chaity, zbolała i błagalna przed chwilą, zajaśniała radością i wdzięcznością niewypowiedzianą. Nagle zapłakała głośno, spazmatycznie prawie.

— Czegoż płaczesz? — zapytał Rebe.

— O, *Rebe!* przebacz ty moim łzom! głupie to są łzy, ale rzucają się one z serca mego do oczu moich, i ja ich zatrzymać w sobie nie mogę. Jak ty Chaimka mego do domu swego weźmiesz, rozstanę się z dzieckiem mojém... Niéma u mnie nikogo na świecie całym, tylko jest on jeden... Ja i on, żyliśmy do tego czasu, jak te dwie krople wody, które wiatr rzuci na piasek, i które ciągle na siebie patrzą, a jedna drugiéj żyć dopomaga... Jak ty, *Rebe*, Chaimka mego do domu swego weźmiesz, zostanę się ja bez niego, jak oko bez źrenicy, jak ciało bez duszy. Kiedy ja obudzę się z rana, nie zaśmieją się już do mnie usta jego, a kiedy wieczorem do domu wrócę, szyi mojéj ręce jego nie obejmą. Nie będą już nóżki jego biegać i skakać po mojéj izdebce, a w ciemnościach nocnych nikt już nie zawoła do mnie: — *Bobe!* przyjdź i zabierz mnie do łóżka swego... niech ja rozgrzeję się pod pierzyną twoją... Pozwól ty, *Rebe*, żebym przynajmniéj często do domu twego przychodziła i, na niego patrząc, pocieszała stare oczy moje...

Nazajutrz do izdebki Chaity wszedł. Reb Nochim, i wziąwszy za rękę strwożonego i płaczącego Chaimka, zaprowadził go do domu swego.

Kimże i jakim jest Reb Nochim? Zdziwicie się państwo, gdy powiem wam, że jest to mąż sławy niepospolitéj. Nie słyszeliście nigdy o nim? Jeden to dowód więcéj, że, posiadając wiele wiedzy, można jeszcze o mnóztwie rzeczy nie wiedzieć. Reb Nochim słynie szeroko śród izraelskiego plebsu z uczoności swéj, pobożności i miłosierdzia. Talmudystą jest on, biegłym wielce, i naukę kabały studyuje z niezmordowaną pracowitością. Powiadają niektórzy, iż dla oczu jego nic niéma skrytego na niebie i ziemi, ale ja o tém z pewnością twierdzić nie mogę. Wielkiéj litości jego zato mam dowody niezbite, bo czyny jéj i następstwa widziałam nieraz przed własnemi oczyma. Widziałam nieraz dzieci izraelskie, ubogie, obdarte, głodne, które gromadami całemi przygarniał on ku sobie; widziałam starców niedołężnych, zgarbionych, którym ramię swe za podporę on dawał... Ale o tém mi mówić nie pora dziś. Teraz wspomnę o tym rysie usposobień Rebe Nochima, który wywrzéć może, jak mi się zdaje, silny wpływ na przyszłe ukształcenie moralne i umysłowe Chaimka. Reb Nochim, oprócz hebrajskiego języka i pospolitego żydowskiego żargonu, żadnéj innéj mowy, ani wyrazu jednego nie rozumié i nie wymówił nigdy. Pogrążony całkiem w studyach religijnych, w badaniu szczególnéj tajemnic kabały, nad któremi praca, wierzajcie państwo, żartem wcale nie jest, nie miał on może czasu wyuczyć się języka panującego w kraju, który dla pra-pra-dziadów jego był już krajem rodzinnym. Przypuszczam jednak, że oprócz braku czasu, nieumiejętność ta Rebe Nochima posiada jednę jeszcze przyczynę, którą, zdaje mi się, że raz własnemi dostrzegłem oczyma.

Było to niedawno temu. Idąc ulicą miasta, spotkałam przybywający do Ongrodu tabór cały pogorzelców. W poblizkiém miasteczku zgorzały wielu biednym ludziom domy ich i całe chudoby, i jechali oni teraz na wozach, odarci, wychudli, wpółnadzy, niektórzy

nawet szli pieszo, a na obliczach wszystkich była nędza i rozpaczne o ratunek błaganie. Tabór ten posuwał się zwolna środkiem ulicy, a na chodnikach stały tłumy zamożniejszéj izraelskiéj ludności, przypatrującéj się z ubolewaniem nieszczęściu śpółbraci. Chodnikiem téż równolegle z taborem postępował Reb Nochim. Smutny stan nędzarzy tak go rozrzewniał, iż wielkie łzy jedna za drugą płynęły po ciemnych, zarosłych włosem, jego policzkach. W dłoniach trzymał puszkę blaszaną i przed osobą każdą stojącą na chodniku wstrząsał nią, o jałmużnę dla pogorzelców prosząc. Nie prosił wprawdzie ustami, nie mówił nic, ale wymownie bardzo prosiły łzy jego i smutne, głębokie jego wejrzenie. Za każdym razem, gdy miedziana lub srebrna moneta z ręki czyjéj w głąb' puszki wpadła, Reb Nochim dziękował dawcy skinieniem głowy, pełném wdzięczności, i takim miękkim błogosławiącym uśmiechem.

Kobieta jakaś, nienależąca do izraelskiego świata, przechodząc, rzuciła téż pieniądz w puszkę Reb Nochima. Reb Nochim nie podawał jéj puszki swéj, bo poznał od razu, że nie należała ona do plemienia tego, z którego pochodzili sunący środkiem ulicy nędzarze; lecz gdy nieproszona dar swój złożyła, orzucił ją bystrém spójrzeniem, w którém błysnęło twarde, niemiłe światło jakieś, wstrząsnął puszką swą tak silnie, jak gdyby chciał wyrzucić z niéj pieniądz, przez nią rzucony, i głową nie skinął, i nie uśmiechnął się, i szybko, bardzo, bardzo szybko, minął kobietę...

Byłam tam wtedy, moment ten pochwyciłam wzrokiem i pomyślałam zaraz o małym Chaimku. Być może jednak, że te lilie białe, na których przespał on noc jednę, że te niezabudki, które błękitném wejrzeniem swém zdawały się mówić mu: „pamiętaj!"...

... Chaimek mieszka u Rebe Nochima i uczęszcza do Talmud-Tory, ale wieczorami Reb Nochim często sam go naucza. Prowadzi on z dzieckiem długie rozmowy, opowiada mu wiele historyi, poczerpniętych ze świętych ksiąg Izraela, a ofiara to niemała, gdyż rozmowy te zabierają mu czas drogi, odrywając go od ulubionych studyów i modłów. Ale czegoż Reb Nochim nie uczyni gdy widzi, że ktoś biedny potrzebuje pomocy jego, albo, że w jakiémś malutkiém sercu wzniecić może wielką miłość dla izraelskiego ludu i wiary jego!

Onegdaj tedy wieczorem; Reb Nochim nauczał Chaimka. Siedzieli obaj w nizkiéj szaréj izbie, jeden naprzeciw drugiego; mąż z ciemną twarzą i gęstym zarostem wspierał łokieć na stole, a rękę podnosił w górę, wskazując niby niebo; dziecię, z okrągłą, pojętną twarzyczką, siedziało na wysokim stołku, z nogami w powietrzu, z drobnemi rękoma splecionemi na stole, wyprostowane, uważne, z dwojgiem wielkich oczu nieruchomie utkwionych w oblicze mistrza.

Reb Nochim jest mistykiem. Wierzy on we wszystkie nadprzyrodzone jestestwa, o których opowiadają księgi, lecz dla niektórych aniołów szczególnie serce jego goreje miłością tkliwą i rozrzewnioną. Miłością tą chce on podzielić się ze swym uczniem. Onegdaj właśnie opowiadał mu o aniele Sandalfonie, który, stojąc w niebieskich wrotach, pochwytuje modlitwy, lecące z ziemi do nieba, zmienia je w kwiaty przedziwnéj piękności, i splata z nich wieńce, które składa u stóp Jehowy.

Chaimek słuchał o aniele modlitwy i litości z zachwyceniem niezmierném, i jakby ujrzéć go zapragnął, podniósł w górę swe oczy. Wtedy, nagle, przed pamięcią i wyobraźnią jego stanęła kobieta w białéj sukni, ujrzana kiedyś na bulwarze miejskim; zobaczył schylającą się ku niemu twarz jéj białą i łagodną, z szafirowém, srebrzyście połyskującém okiem i, zapatrzony kędyś wysoko, głośno z uśmiechem wymówił.

— Daj kwiatek!

Rebe Nochima zdziwiły bardzo nieznane mu wyrazy, które wymówiło dziecię i...

Lecz o Reb Nochimie, życiu jego, naukach i tych dziwnych, lub może i niedziwnych sprzecznościach, które istnieją w sercu i głowie jego, opowiem państwu kiedyś, późniéj... jeżeli dowiem się, że historya o Chaicie i Chaimku zdobyć sobie zdołała przyjazne wasze względy.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-roznych-sfer-daj-kwiatek

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Z różnych sfer. Nowelle i obrazki, tom III, nakład i druk S. Lewentala, Warszawa 1886.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0610-8

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.